



Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl/>). Partnerem projektu jest Prokom Software SA. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN. Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza, że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Źródło: http://wiki.wolnepodreczniki.pl/Lektury:Oppman/Legendy_warszawskie/Z%C5%82ota_kaczka.

ARTUR OPPMAN

ZŁOTA KACZKA

[*Z LEGEND WARSZAWSKICH*]

I

Był sobie szewczyk warszawski. Nazywał się Lutek. Dobre było chłopczyko, wesole, pracowite, ale biedne, jak ta mysz kościelna. Pracował ci on u majstra jednego, u majstra na Starem Mieście. Ale cóż? Majster, jak majster, grosz zbierał do grosza, z groszy ciułał talary i czerwonce, a u chłopaka bieda, aż piszczy.

Niby to mu tam pożywienie dawał. Boże, zmiłuj się: wodzianka, kartofle — i tyle! I odział go, mówi się, ale ta przyodziewa spadała z Lutka, boć to stare łachy majstrowskie, co ledwo się kupy trzymały. Dość, że w takim sianie i pies by nie wytrzymał, a cóż dopiero człowiek! Gadają mu: Miej cierpliwość, mityguj się, będzie lepiej, poczekaj ino!

Co to lepiej! Kiedy? Rok za rokiem mija, lata lecą, a tu wciąż nędza i nędza.

Znudziło mu się. Uciec chce. Do wojska — powiada — pójdę, żołnierzem będę, może się ta nowy Napoljon gdzie zjawi, to, jak nic marszałkiem zostanę, generałem wielkim, mocarzem.

No nic! cierpi jeszcze, czeka.

Aż ci tu kiedyś na wieczorynkę poszedł do czeladnika jednego, co się niedawno wyzwolił i wiodło mu się niezgorzej, bo grenadierskie buty szył, dla gwardii, dla panów oficerów. Wieczorynka aż miło! Jedzą, piją, gawędzą. Ni z tego, ni z owego, o bajkach się zaczyna, o takich podaniach warszawskich

I mówi jeden stary szewc, kuternoga:

— Ho! ho! u nas w Warszawie i o pieniądzu łatwo i o sławę, tylko trza mieć odwagę i rozum we łbie, jak się patrzy.

Zaciekawił się Lutek, pyta:

— Mówcie, co takiego?

— Ano nic — rzeknie kuternoga — na Ordynackiem, w podziemiach starego zamku, jest królewna taka, zaklęta w złotą kaczkę. Kto do niej trafi, kto ją przydybie — wygra! Ona mu powie, jak skarby ogromne zdobyć, jak się stać możnym bogaczem, magnatem!

— I gdzie to, mówicie?

— Na Ordynackiem, w lochach starego zamczyska.

— A kiedy?

— W noc świętojańską.

Zapamiętał to sobie nasz Lutek, a do nocy świętojańskiej trzy dni trzeba czekać, nie więcej.

II

Wieczór spadł na gwarną Warszawę, gwiazdzisty, ciepły, czerwcowy. Na ulicy ludzi, jak mrowia. Panienki takie śliczne spacerują, a przy nich kawaleria, młodzi panowie, a głównie — wojskowi.

Tu ułan drugiego pułku, biały z granatem, tu strzelec konny gwardii w mundurze zielonym z złotym, tu piechota liniowa, tu artylerzysta; hej! ostrogi dźwięczą, szable brzęczą, kity migają, aż lubo patrzeć!

Idzie sobie nasz szewczyk Lutek Krakowskiem Przedmieściem, Nowym Światem, wszedł w Ordynacką, przeżegnał się: już blisko!

Spuszcza się Tamką, bo tam właśnie jest wnijsć do lochów ordynackiego zamczyska, idzie, lezie, ale mu coś niesporo.

Nie to, żeby się bał: niech Bóg broni! nie lęka się on niczego; tylko tak jakoś, nie łącno mu, ze złym duchem może, wejść w komitywę.

Ano trudno! Raz się zdecydował: wejść trzeba!

Od Tamki, okienka nad ulicą dość nisko, szyb niema, ino kraty, ale taki chudzielec, jak wąż się przecisnie.

Jazda! Wdrapał się po wystających ceglach do okna, raz, dwa, trzy! W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — Wlazł do wnętrza. Ciemno! zapalił świeczkę — idzie. Kurytarz długi, wąski, kręty, prowadzi niżej i niżej. Aż ci po kwadransie może takiej drogi wylazł szewczyk do piwnicy wielkiej, sklepionej, z jeziorkiem jakiemiś pośrodku.

Przy mdłym światełku świeczki łożowej, którą trzymał w ręku, obaczył Lutek owo jeziorko — a na niem — Boże drogi! prawdę mówił szewc Kuternoga: złota kaczka pływa, piórkami szeleści.

— Taś, taś! kaczuchno!

I nagle — z kaczki czyni się precudna dziewczica: królowna. Włosy złote do ziemi, usta jak maliny, oczy jak gwiazdy, a buzia taka cudna, że — klękajcie narody!

— Czego chcesz ode mnie, chłopczyku?

— Jaśniewielmożna królowno — Lutek powiada, — nic ci ja nie chcę, ino zrobię to, co ty chcesz, abyś rozkazała.

— Dobrze — odpowie księżniczka — tedy ci powiem! Uzyskasz skarby, jakich nikt na świecie nie ma i mieć nie będzie, panem będziesz, bogaczem, jeśli spełnisz, co do joty, to, co ci powiem.

— Słucham, jaśniewielmożna!

— Oto masz kieszkę, w niej sto dukatów; przez dzień jutrzejszy musisz je wydać, ale tylko na potrzeby własne, dla siebie samego; nic ci z tego złota dać nikomu nie wolno, ni grosza, ni grosza! Pamiętaj.

— Ha! ha! ha! — zaśmieje się Lutek — i cóż to trudnego? Będę jadł, będę pił, będę hulał! Wydam sto dukatów — a co potem?

— A potem, skarby niezmiernie otworem stać ci będą, kopalnie złota prawdziwe, bogactwa niezmierzone; ale pamiętaj: ni grosza nikomu!

— Zgoda, królowno! daj kieszkę!

Księżniczka kieszkę Lutkowi wręczyła, zaśmiała się jakoś dziwnie — i znikła.

Strach przejął szewczyka. Ledwo się do okna dogramolił, wylazł na Tamkę i smyrznął na Stare Miasto.

III

Nazajutrz dzień od rana samego puszcza się Lutek na miasto. Co tu robić najsampierw — myśli sobie — chyba się odziać, jak panicz.

No, dobrze! racja! Poszedł na Świętojerską, do sklepów z odzieżą, kupił sobie kapelusz, ubranie, paletot. Szyk! Prawdziwy hrabia!

Idzie, pogwizduje, laseczką macha, bo i laseczkę se sprawił, nie wie co robić dalej.

Nie taka to łatwa sprawa wydać sto dukatów!

Sto dukatów! dla siebie samego!

Ha! trza pomyśleć!

A że to była już jakaś dziesiąta godzina, jeść mu się kaducznie zachciało. Jeść i jeść. Młody, zdrowy, to i nic dziwnego, że głodny.

Wstąpił do gospody. Każe sobie dać kielbasy, kiszki, piwa, bułek.

Je, je, aż mu się uszy trzęsą. Najadł się tak, że mu chyba na trzy dni wystarczy.

— Co się należy?

— Dwa złote.

— Dwa złote? Nie więcej?

— Dwa złote, paniczu, i przydałoby się z dziesięć groszy napiwku.

Wydajże tu sto dukatów, bądź mądry! Ano trudno! Trza jakości ten pieniądz wydać. Pomyślimy!

Sypie ci Lutek na wycieczkę za miasto. Pojechał końmi do Wilanowa. Bryczkę wynajął na poczie, koni czwórka, pocztillion gra na trąbce. Uciecha.

Przyjechał. Dał dukata odźwiernemu przy parku. Chodzi po ogrodzie. Napatrzył się, południe już minęło. Pora powracać! I znów jest w Warszawie. Co zrobić? Gdzie wydać pieniądze, boć wydał niespełna pięć dukatów.

Spojrzał. Afisz na rogu: Teatr Narodowy. Niema co! Chodźmy do teatru.

W teatrze zabawił się setnie. Nie był w nim nigdy. Bo i skądże? Rzecz droga: miejsce dwa złote.

Wyśmiał się, ucieszył, wychodzi.

Późna już pora. Czasu do wydania pieniędzy niewiele, a Bóg świadkiem — nie wie Lutek, co z nimi zrobić? Idzie, rozmyśla. A gdy tak idzie, na rogu zaułka starzec stoi zgarbiony.

— Panie — powiada — drugi dzień mija, gdy nic w ustach nie miałem. Starym żołnierz, paniczu, pod Sommosierrą byłem, pod Smoleńskiem, pod Moskwą, przy księciu Józefie pod Lipskiem — poratuj mnie!

Pojrzy Lutek na starca: inwalida bez ręki, a na piersiach błyszczą mu wstążeczki orderowe: Legia honorowa i Virtuti militari.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść złota, dał starcowi.

— Bóg-że ci zapłać, paniczu! Bóg ci zapłać! Będiesz szczęśliwy i bogaty!

Błysnęło! zagrzmiało!

Mignęła przed oczami Lutka księżniczka zakłęta.

— Nie dotrzymałeś obietnicy, nie dla siebie wydałeś pieniądze!

I znikła.

Rozejrzy się szewczyk: dziad stoi, jak stał poprzednio — i rzecze:

— Nie dukat, paniczu, daje szczęście, ino praca i zdrowie. Ten pieniądz wart coś, co zarobiony, a darmocha na złe idzie.

Powrócił Lutek do domu rad i wesół. Ocknął się rankiem bez grosza w kieszeni. Wydał na siebie z dziesięć dukatów, a resztę oddał starcowi, ale też od tego czasu wiodło mu się, jak nigdy. Wyzwolił się wrychle na czeladnika, niebawem majstrem został, ożenił się z panią piękną i zacną, dzieci wychował — i żył długie lata w zdrowiu, w dostatku i w szczęściu.

A o złotej kaczce słuch zaginął. I dzięki Bogu! bo zła to musiała być boginka, kiedy za warunek stawiała: sobie, nie komu!

Nie tak! nie tak myśleć i czuć po polsku trzeba! My rządźmy się inaczej: naprzód biednemu, potem sobie!

A wtedy każdej pracy Pan Bóg dopomoże.